

stępując zboczem jego w górę, spostrzegł wreszcie to, czego szukał, a co o wiele przewyższało wszelkie najśmielsze nawet nadzieje i przypuszczenia. „W jasnym wapieniu marglowym” — mówi znakomity profesor — „leżą w olbrzymiej ilości, jak śnieg białe skorupy ślimaków z rodzaju Paludina, na samym dole formy owalne, zupełnie gładkie, które ku górze powoli przybierają postać stożkową, później okazują zagłębienie wzdłuż pojedynczych skrętów, po którego obu stronach wreszcie występują jeszcze dwie silne listewki. Przytem leżą pojedyncze formy tak prawidłowo rozmieszczone w odsłaniających się tu warstwach, że wystarcza tylko postępować w górę stoczystości, z oczami w dół skierowanymi, ażeby można śledzić najdokładniej sposób rozwijania się całego szeregu form opisanych. Podczas tego, przekonany jestem, wystarczałoby zupełnie, w odstępach dziesięciocentymetrowych na ślepe szczęście pierwszą lepszą, lepiej zachowaną skorupę podjąć z ziemi, aby zestawzić w ten sposób cały szereg form przejściowych.”

Fakt tego rodzaju, trzeba przyznać, musi nawrócić każdego, usposobionego nawet najbardziej sceptycznie względem istnienia form mutacyjnych, czyli teorii powolnego tworzenia się coraz nowych gatunków, jakkolwiek bezsprzecznie posiada ona jeszcze pewne strony ciemne i niewytlómaczone.

Jeżeli więc udowodniliśmy na drodze badań paleontologicznych, że gatunki rzeczywiście ulegają zmianom nie tylko w zakresie i w kierunku wytwarzania nowych odmian, a wskutek tego z danych gatunków po pewnym przeciągu czasu powstać mogą i rzeczywiście powstają pewne gatunki nowe, chodziłoby teraz tylko o wykazanie metodą palentologiczną tego, że zmienność ta gatunków związaną była z ciągłym doskonaleniem się w ciągu epok geologicznych istot uorganizowanych, że objawia się w swoim rezultacie w paleontologii rzeczywiście jako ewolucja organizmów.

(Dokończ. nastąpi).

DZIAŁ LITERACKI.

Cienie.

We śnie widziałem je: z twarzą wybladłą,
Strawione głodu palącą pożogą,
Szły tłumy cieniów w dal bieżącą drogą —
Ponure sennéj méj myśli widziadło.

Po zgiętych z pracy barkach, dłoni czarnej,
Poznałem je: to smutne cienie ludzi,
Których do trudu świt półmroczny budzi,
A trudu kres dzwon wieści im cmentarny.

To cienie ludzi, którzy patrząc w słońce
Modlą się, aby zagasło coprędzej,
Bo tylko senni nie czują kłów nędzy —
I słońcu klną, gdy wita ich wschodzące.

Spytałem cieniów tych: „Dokąd wam droga,
Losów przemocy nieszczęsne ofiary
I bezpraw, ludzkich?...” Odrzekły mi maryl:
„Sprawiedliwości idziem szukać Boga —

Idziem Go szukać w sercu pokolenia,
Co dzisiaj szyszak na skroń młodą wkłada...“
I przewinęła się cieniów gromada,
Jako kłęb dymu, co sferę zacienia...

Młodzi! Wszak prawda, że nie nadaremno
Do waszych uszu jęk słabszych dolata?
Ten, kto rannego nie zasłoni brata
Swą własną piersią — ma duszę nikczemną!

Los, przeciwnicy mogą zmóc was tłumni,
Ale wiekowi niechaj wiek powtarza,
Żeście bronili idei okłarza
Sił wszystkich dla niej poświęceniem dumni!...

Kaz. Przerwa-Tetmajer.

Czarny okręt.

Po morzu dziejów płyną wolne ludów nawy,
Dumnie białe ich żagle świecą wśród odmgłu,
Pośród nich czarny statek, jak upiór okrętu,
Błądzi bez steru — pusty — zrabowany — krwawy —

Starszyzna śpi w kajutach, niepomna naprawy,
Sternicy poginęli wśród bitew zamętu —
Boją się statki ludów czarnego okrętu,
Straszy ich kapitanów cień przeszłości krwawy —

On nie tonie, lecz płynie, choć padli sternicy;
Kto go trzyma, że w mokrej nie zniknie mogile?
Tam — na dnie — ci z wiosłami skuci niewolnicy.

Ty czarny statku! kto są ci ludzie u spodu,
Co znojem ramion zguby powstrzymują chwilę?
Ach, wiem kto — to heloci mojego narodu...

F. H. Nowicki.

Za aniołem stróżem.

Obrazek

Wilhelma Feldmana.

Ziemia okryła się ogromną, śniegową oponą o skrzęcej się białości, wiatr huczy i wyje posępnie pędząc przed sobą ciemne tumany, a mróz ściska w lodowatych kleszczach wioskę całą. Epoka-to karnawału i nędzy, największej liczby wesel i śmierci głodowych.

Pięcioletni Jóźko siedzi już od dwóch miesięcy zamknięty w chałupie, bo nie dla chamskiego syna futra i kamasse. Jemu nie mogą rodzice marnej pary butów ni ciepłego przyodziewku sprawić; od pierwszego więc śniegu nie wystawił nosa za próg domostwa.

A tu tak źle — tak smutno!

W poszarpanych spodenkach, bosymi stopami biega malec po izdebce, jak ptak po klatce; nie szczebioce jednak, nie figluje, jak dawniej, na wolności. Dawniej — ha! Jak ryba pluskał się w rzeczulce, jak kulka toczył się po całej wiosce, mały, pulchny, swywolny. Teraz schudł Jóźko, zmizerniał nieborak, oczy mu się zamgliły, wesołe, swobodne krzyki zamieniły się w błędniejących jego ustach w posępne jakieś mruki, miasto płatać psie figle jak dawniej, siedzi obecnie całymi dniami za piecem i w zadumie ssie palce. Nieraz staje na ławce obok